

Henryk Markiewicz

Zrządność bez przekory

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2, 91-98

1990

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Henryk Markiewicz

Zrzędność bez przekory

Zoporami zabieram się do tej wypowiedzi o sytuacji polonistyki literackiej. Nie wiem, jak moi koledzy, ale ja coraz rzadziej wykraczam w swych lekturach poza to, co potrzebne mi jest do własnej pracy naukowej i co mam ocenić jako recenzent czy redaktor. I tak zresztą o badaniach spoza zakresu moich bezpośrednich zainteresowań mógłbym wypowiadać się bardzo niepewnie: postępująca specjalizacja stawia tu coraz większe przeszkody. Opierać się zaś na sądach cudzych w takiej próbie osobistego spojrzenia nie należy. Poza tym sądów tych jest niewiele. Prasa literacka przynosi omówienia niektórych tylko, kapryśnie lub według środowiskowego klucza wybranych książek, zaś w czasopismach naukowych, które wchodzi tu w rachubę, a więc w „Pamiętniku Literackim” i „Ruchu Literackim”, nie mówiąc już o „Przeglądzie Humanistycznym”, też występują dotkliwe luki sprawozdawcze. Właściwie tylko „Nowe Książki” nie mają — jak mi się zdaje — poważniejszych pod tym względem zaniedbań.

Rzecz przy tym charakterystyczna, że poza nielicznymi wyjątkami, od recenzowania stroną coraz bardziej badacze wytrawni, z dużym własnym dorobkiem, choć przecież równocześnie oceniają tyle prac doktorskich i habilitacyjnych, i mogliby swoje oceny publikować. A może występuje tu różna skala wymagań i ocen?

Jest to fragment zjawiska ogólniejszego — zaniku dyskusji naukowych, teoretyczno- i historycznoliterackich. Nie dyskutują ze sobą reprezentanci różnych kierunków teoretycznych (jeden Stanisław Dąbrowski sytuacji tej

nie zmienia); można to wytłumaczyć sobie w taki sposób, że kierunki owe, nie dążąc do uniwersalnej nauki o literaturze, wyrażają po prostu *désintéressement* dla tego wszystkiego, co dzieje się poza obszarem ich zastosowania. (Inna rzecz, że w naszym literaturoznawczym „społeczeństwie przyzwalającym” to *désintéressement* podszyte jest z reguły — lekceważeniem.) Gorzej, że brak sporów merytorycznych w obrębie poszczególnych kierunków. Może się mylę, ale wydaje mi się, że w ciągu minionych 30 lat nie było np. nigdy dyskusji między strukturalistami czy semiotykami...

Brak takich sporów w latach ostatnich można wyjaśnić po części spadkiem zainteresowań teoretycznych i metodologicznych, zwłaszcza w młodszym pokoleniu. Zapewne, problematyka ta ma nadal wśród nich swoich entuzjastów, i to utalentowanych i dobrze wykształconych, ale jest ich stosunkowo niewielu. Dawniej rozpowszechnione doktryny straciły wiele ze swego autorytetu i siły przyciągającej. Marksizm — nie bez oddziaływania swych politycznych uwikłań — traktowany jest powszechnie jako niezbyt chlubny anachronizm. Prawie wszyscy zgadzają się, że celowe i owocne są badania nad kulturą literacką (w rozumieniu Stefana Żółkiewskiego), ale jeśli socjologiczne komponenty ich teorii (np. koncepcja modeli i obiegów literatury) okazały się operatywne — nie można tego powtórzyć o próbach jej wyposażenia w system pojęć semiotyki. Psychoanalizę, jak dawniej, mało kto się interesuje. Dekonstruktywizm pozostał — jak dotąd — na gruncie polskim tylko przedmiotem zaciekawienia; przyczynił się co najwyżej do umocnienia wśród młodych relatywizmu i pesymizmu poznawczego oraz — delektowania się nim. I wreszcie — strukturalizm. Zdobył on sobie stanowisko panujące i w świadomości badaczy, i w nauczaniu uniwersyteckim. W jego ramach można skutecznie uprawiać poetykę teoretyczną i historyczną — i bardzo dobrze, że prace tego rodzaju wciąż powstają. Ale jako propozycja ogólna — również w swej nowszej wersji „komunikacjonistycznej” — zbanalizował się i stracił atrakcyjność dla tych przynajmniej, którzy nowość przekładają nad pożytek poznawczy. (Można by powiedzieć, że ucierpiał od ukutej przez siebie samego broni teoretycznej). Ubogo zaowocował też w badaniach nad makrostrukturami literackimi, takimi jak gatunek czy prąd literacki, nie mówiąc już o tym, że nie okazał się w praktyce zdolny do zbudowania syntezy historycznoliterackiej.

W praktyce tej syntezy ukształtował się inny tryb wykładu — grupujący fakty literackie według prądów i gatunków, posługujący się ostrożnie wyjaśnieniami kondycjonalistycznymi i idealizacyjną interpretacją his-

toryczną (szerzej o tym w moim artykule *Dylematy historyków literatury*). Porównując tomy *Dziejów literatury polskiej* pod redakcją Ziomka z wcześniejszymi tomami *Historii literatury polskiej* pod redakcją Wyki, można wywnioskować, że tendencja ta zwycięża nad ujęciami poietocentrycznymi, tj. grupującymi materiał wokół indywidualności pisarskich.

Wspomnianym tu syntezom a także nielicznym monografiom pisarzy łatwo zarzucić „eklektyzm”. Sam przed paru laty, w artykule *Pytania do semiotyków (literatury)* przyznałem się do niego i od tego się nie odżegnuję. Zapewne, jest w tym pewna lekkomyślność. Może ambitniej i taktyczniej byłoby, gdybym zamiast o „eklektyzmie” pisał np. o „aspektualizmie integratywnym”... (Mówiąc serio: chodzi tu o taki ogląd materiału w różnych aspektach, na różnych poziomach jego organizacji, który stara się zbadać ich powiązania, świadom jest jednak, że poziomy te cechuje znaczna autonomia). Wracając do wspomnianych syntez — rzeczywiście dostrzegalne jest w nich korzystanie z pojęć i schematów poznawczych różnej proveniencji, ale jakże może być dziś inaczej, jeśli mają to być syntezy, a istniejące kierunki badawcze — nie w deklaracjach, lecz w praktyce — mają tylko częściowe zakresy zainteresowań?

Ale dość o tym. Nie wydaje się, by synteza, strukturalna czy procesualna, szczególnie pasjonowała dziś literaturoznawców. Zainteresowania części autorów przechylają się najwyraźniej ku temu, co indywidualne i niepowtarzalne. Tomasz Burek powtórzyłby i teraz apel o historię literatury pojętą jako ciąg literackich „biografii symbolicznych”, odślaniającą „konkretnie ludzki, zawsze czymś indywidualnym piętnem naznaczony wartościotwórczy wymiar procesów dziejowych”¹ Ryszard Przybylski pisał niedawno:

„Czytelnik obcuje z tekstem a nie z procesem. Oczywiście należy rozumieć proces, z którego wyłonił się tekst, ale nie wolno nam przekształcać utworów w przykłady ilustrujące abstrakcyjne prawidłowości”²

Tekst czy utwór oczywiście — nie byle jaki, ale arcydzielny. Prawdę mówiąc, nowych odczytań całościowych arcydzieł jest niewiele. Uwaga badaczy skupia się raczej na poszczególnych ideach, tematach, motywach, obrazach wypreparowanych z wybitnego utworu, czy częściej jeszcze — z przestrzeni całych gatunków i okresów. Uprzywilejowane są przy tym idee i tematy bliskie dzisiejszej świadomości i wrażliwości — a więc sfera

¹ *Jaka historia literatury jest nam dzisiaj potrzebna?*, Warszawa 1979, s. 22.

² *Klasycyzm czyli prawdziwy koniec Królestwa Polskiego*, Warszawa 1983, s. 8.

sacrum i transcendencji, idee narodowe, graniczne sytuacje egzystencjalne, transgresyjne zachowania człowieka...

Krótko mówiąc — poetykę historyczną wypiera historia idei i tematologia. Wpłynęła na to na pewno gorąca atmosfera ideowo-polityczna lat ostatnich i osiągnięta w nich swoboda wypowiedzi. Nie ulega wątpliwości, że uprzednie zainteresowania „formalne” po części przynajmniej były reakcją obronną wobec presji panującej ideologii. Dziś, kiedy można pisać bez cenzuralnych ograniczeń, bardziej pociągający dla badacza (nie mówiąc już o czytelniku) stał się np. stosunek Andrzejewskiego do totalitaryzmu niż jego techniki narracyjne... Na tej drodze najskuteczniej wychodzi dziś nauka o literaturze poza krąg specjalistów i spełnia swe szersze humanistyczne zadania — przykładem sugestywne książki Marii Janion.

Postępowanie stosowane w omawianych tu pracach rzadko bywa przedmiotem autorefleksji badacza, i nie bez powodu: dzisiejsza hermeneutyka świadomie przeciwstawia prawdę — metodzie. Ale niekiedy takie autorefleksje się pojawiają. Krzysztof Mrowcewicz pisze:

A więc nie archeologia, ale wskrzeszanie zmarłych idei, myśli, pojęć, obrazów jawi się nam jako najważniejsze zadanie historyka. Wskrzeszanie po to, by świadczyły za nami, bo nie ludźmy się, że damy im inne ciało, krew, kości i mózg niż nasze. Oczywiście świadek ten [tzn. dzieło przeszłości] powinien mówić prawdę, tzn. w miarę możliwości przemawiać swoim własnym głosem, a to jest przecież najtrudniejsze: wyzbyć się intelektualnego samozachwytu i dać mówić komuś innemu.³

Natomiast Marta Zielińska powiada, że arcydzieło pozwala na „odnajdywanie w nim nieskończonej ilości rzeczy”, „ma dziwną zdolność odpowiadania na bardzo różne pytania, ciągle nowe pytania, jakie mu się zadaje”.⁴

Nic przeciw stawianiu tych nowych pytań nie mam, ale sędzę, jak Mrowcewicz, że pierwszym obowiązkiem badacza jest zrozumieć, co znaczy utwór w horyzoncie kulturowym czasu swego powstania.

W grze komunikacyjnej toczącej się między tekstem a interpretatorem ujawniają się dziś dwie strategie. Pierwsza z nich to strategia identyfikacji, kiedy to badacz utożsamia się z utworem, stara się dać jego ekwiwalent, mówi jego językiem, konstruuje jego interpretacyjną parafrazę. Strategię drugą można by nazwać „ezoteryczną”: objawia ona sensory utajone dla przeciętnie przygotowanego odbiorcy, odwołując się do najrozmaitszych

³ K. Mrowcewicz, *Czemu wolność mamy? Antynomie wolności w poezji Jana Kochanowskiego i Mikołaja Sępa Szarzyńskiego*, Wrocław 1987, s. 5.

⁴ M. Zielińska, *Opowieść o Gustawie i Maryli*, Warszawa 1989, s. 186.

kategorii filozoficznych, teozoficznych itp., niekoniecznie autorowi dzieła znanych. W tym drugim wariancie — nie chcę powiedzieć, że wszystko, ale coraz więcej jest dozwolone. Mówiąc żartobliwie, badacz współczesny poszedł w ślady reżysera teatralnego i ma podobnie jak on śmiało „pomysły”.

Strategię tę z podziwu godną samowiedzą scharakteryzowała Danuta Ulicka *à propos* własnej interpretacji Norwida⁵:

Tradycja, w której brzmia *Ogólniki*, jest nieogarniona. Rozrosła się w nieskończoność, uświadamiając tym samym umowność wszelkich reguł kończenia. Zarazem, jakkolwiek nie można czytać ich poza nią, to czytać je w niej — znaczy rozproszyć tekst poety. Rozplynie się on pomiędzy innymi tekstami, wpisany w ich światła i wolne przestrzenie. Nawet jeśli nie zostanie w ten sposób unicestwiony, to zyska naturę palimpsestu, palimpsestu o tyle przy tym osobliwego, że będą przezeń przebłyskiwać nie tylko pokłady tekstów wcześniejszych, ale także późniejszych.

I rzeczywiście — dowiadujemy się, że wyraz „odpowiednie” u Norwida odsyła do filozoficznej formacji artystotelesowsko-kartezjańskiej, a w wyrazie „dać”, który gra sensami „od-dać” i „do-dać” zarysowują się już niebezpieczeństwa współczesnej filozofii języka przedustawnego wobec świadomości, bądź języka-kreatora. Padają nazwiska Akwinaty, hezychastów (wstyd mi, ale nie wiem, kto to taki), Humboldta, oczywiście Heideggera i Derridy. Profanowi w norwidologii, jakim jest niżej podpisany, wydaje się jednak, że skoro wiersz odnosi się do poezji i wymowy, należałoby przede wszystkim zastanowić się nad jego stosunkiem do retorycznej kategorii „decorum”, którą Sulpitius Victor tak np. definiuje: *illud prepon, quod decorum vel decens dicimus in eo est, ut rebus apta sint verba*, a Maria Maykowska oddała właśnie terminem „styl odpowiedni”. Ale o tym najbliższym kontekście autorka milczy. Zapewne, nie otwiera on przepastnych głębin filozoficznych, jakich szuka się z reguły u Norwida, ale stanowi solidny grunt interpretacyjny, na którym nie musi się poprzestawać, ale którego nie wolno pomijać.

Coraz częściej pojawiają się hipotezy interpretujące motywację i sens postępowania bohaterów, nie wyczytane z dzieła, lecz w nie w-czytane, bez dostatecznej podstawy tekstowej wypełniające miejsca niedookreślenia utworu. Oto np. w cytowanej już książce Zielińskiej, skądinąd świadczącej jak najlepiej o inteligencji i talencie narracyjnym autorki, twierdzi się, że całe zachowanie Gustawa z IV części *Dziadów* to „wyrafinowane

⁵ D. Ulicka, *Odpowiednie dać rzeczy słowo*, „Twórczość” 1990, nr 1

przedstawienie” (s. 227): „świadomie robił z siebie stereotypowego romantycznego młodzieńca, posługiwał się charakterystycznymi dlań argumentami, wiedząc że na nic się one nie zdadzą, a książd nie uzna go równym sobie człowiekiem” (s. 212), bo „zależało mu na kompromitacji dawnego nauczyciela, na demonstracyjnej likwidacji jego autorytetu” (s. 215). Ale równocześnie czytamy, że Gustawowi „chodziło o porozumienie młodego ze starym” (s. 227), że przyszedł do tego domu „z zamiarem odegrania takiego misterium, w którym przekazałby siebie, swoją miłość i swoją duszę drugiemu człowiekowi. Czyli przemieniłby drugiego człowieka” (s. 240). W jaki sposób? „Doprowadzając go do obłądu, co byłoby jedyną formą idealnego porozumienia” (s. 247). Jak to wszystko z sobą pogodzić i skąd to autorka wywnioskowała?

Swobodzie interpretacyjnej towarzyszy swoboda narracyjna. Autorzy, jakby przeciwstawiając się „scjentyficzności”, która wielu tak irytowała w pracach iblowskich, zarówno marksistowskich, jak i strukturalistycznych — unikają teraz terminologii literaturoznawczej, chętniej już posługują się wyrazami z fachowego języka innych dziedzin humanistyki (filozofii, psychologii, socjologii). Przede wszystkim jednak — upodabniają swój dyskurs do dyskursu omawianego pisarza, intensyfikują jego ekspresję metaforami i wyrażeniami nacechowanymi emocjonalnie, ilustrują anegdotami, nie cofają się przed częściową fikcjonalizacją (Jarosław Marek Rymkiewicz, także Przybylski, który wprowadza do swego *Klasycyzmu* przedśmiertny monolog Cypriana Godebskiego pod Raszynem). Zarazem podejmują gawędę z czytelnikiem, wprowadzają tonację kolokwialną i w ogóle chętnie eksponują swoje ja.

Wszystko to sprawia, że książki „hermeneutów” na ogół dobrze się czyta, z większą przyjemnością a nawet przejęciem niż owe dawniejsze teksty „scjentyficzne”. Ale cierpi na tym precyzja wywodu — i kończąc tę czy inną pracę jesteśmy w kłopotcie, gdy mamy jednoznacznie sformalizować jej zasadnicze tezy i wnioski. A tonacja kolokwialna trąci czasem nonszalancją wobec tematu i u mniej sprawnych autorów staje się trudna do rozróżnienia od stylistycznej niesprawności.

Wartościowanie w tych studiach nie zawsze występuje wprost. W opracowaniach „przekrojowych”, omawiających morfologię idei, pojęć i obrazów w pewnym okresie czy gatunku literackim trudno uniknąć homogenizacji utworów o bardzo różnej wartości literackiej: kiedy się pisze np. o młodopolskiej wyobraźni nekrofilskiej utwory tandetne okazują się czasem niemniej interesujące, a nawet bardziej oryginalne niż utwory wybitne. Z drugiej strony — w pracach poświęconych wielkim pisarzom przyjmuje

się *a priori* nieskazitelną arcydzielność wszystkiego, co wyszło spod ich pióra. Kridl czy Borowy, gdy pisali o Norwidge, dostrzegali i wzloty, i upadki jego poezji; dla dzisiejszych badaczy wszystko w jego twórczości jest przedmiotem adoracji, zawsze i wszędzie ma on artystyczną rację (światopoglądową zresztą także). A to samo pojawia się również w pracach o niektórych pisarzach współczesnych, zwłaszcza Gombrowiczu i Miłoszu: wszystko jest u nich jednakowo wspaniałe.

Zbliżając się do końca tego tekstu, zauważam, że zarzuty i pretensje górują w nim nad słowami uznania. Niechże to będzie wybaczone autorowi, który wielokrotnie publikował oceny sytuacji w polonistyce literackiej *pro foro externo*, i to wtedy, gdy nauka ta była z zewnątrz atakowana, musiał więc w celach obronnych dbać o korzystny bilans plusów i minusów. Tutaj względy te odpadają, może więc pozwolić sobie na zrządzenie...

Tłumaczy mnie i sytuacja osobista. Teorie, z którymi czuję się związany i do których zespolenia dążyłem — w większym (marksizm) lub mniejszym (strukturalizm) stopniu zawiodły. Ale lepszych nie dostrzegam. Rozwój badań literackich idzie w innym niż się spodziewałem kierunku. Cele badawcze, jakie są mi najbliższe: precyzja, dowodliwość i ład twierdzeń, uogólnienia strukturalne i procesualne, w ogóle nastawienie na syntezę — nie są dominantami naszej dyscypliny na dziś i chyba na jutro. Słowami poety mogę powiedzieć, że przynajmniej od roku 1958 (Zjazd Naukowy Polonistów) „miałem tę pokorę, żem żadnego nie kłął ruchu”. I nie robię tego także dzisiaj. Staram się nie być konserwatystą, ale z upływem dziesięcioleci, moja chłonność na to, co nowe, musi się stopniowo zmniejszać. Trudno mi przy tym pogodzić się z dostrzegalnym wśród młodych lekceważeniem konkretnych rezultatów tylko dlatego, że zastosowana metoda jest „tradycyjna” (tzn. sprzed kilku lat), z ich „świerzbem” metodologicznym, który nie pozwala żadnej metodzie zrealizować się w szerszej praktyce, bo zaledwie do niej przystąpiono, już wygania ją propozycja nowsza — a im bardziej swą nowość akcentuje, tym szybciej się starzeje...

Ale czy warto jeszcze narzekać i zastanawiać się, jak być powinno w sytuacji, gdy sama egzystencja nauki o literaturze jest zagrożona, bo kurczą się do minimum jej możliwości wydawnicze?

Moje pokolenie nie zobaczy już najpewniej wykończonego *Nowego Korbuta*, nowego Estreichera, *Obrazu literatury polskiej*, krytycznych wydań Mickiewicza czy Kochanowskiego. (Przynajmy, że częściowa w tym wina opieszałości i perfekcjonizmu pracowników naukowych, ale o tym już kiedyś mówiłem i pisałem). Firmy wydawnicze rozwiązują stare

umowy, odkładają do szaf już gotowe egzemplarze korektowe, autorom przychodzącym z nowymi propozycjami każą poszukać „sponsorów”. Dalszy los serii wydawniczych Komitetu Nauk o Literaturze Polskiej PAN i Komisji Historii Literatury Polskiej Oddziału PAN w Krakowie jest nieznany. Przygnębia pamięć o coraz liczniejszych, nieraz znakomitych pracach młodych zwłaszcza badaczy, które pozostawać muszą w ich szufladach. (Z samego tylko dorobku IBL czeka na druk dziewiętnaście książek). Jeśli pominąć resztki z dawniejszych planów — ukazują się już tylko rozprawy habilitacyjne, wydawane małą poligrafią i w minimalnych nakładach, więc trudno dostępne w handlu księgarskim albo do niego w ogóle nie trafiające — czyli w naukowym obiegu niemal nie istniejące. Cóż tu więc mówić o takiej czy innej metodologii, o takiej czy innej strategii rozwojowej dyscypliny. Na jednym z czasopism Wielkiej Emigracji widniała dewiza: „Pierwej być, a potem radzić, jak być potrzeba”. Więc właśnie — co robić, żeby w ogóle być?